

# Pobudka

## TYGODNIK

### W NUMERZE:

- \* Usuwać nieufność
- \* Chleb ważniejszy od polityki
- \* Konkurs i powieść

Łódź, dnia 25 maja 1947 r.  
Rok III. Nr 21  
CENA 5 ZŁ.

\*\*\*

Po dymisji podsekretarza stanu spraw zagranicznych w rządzie Stanów Zjednoczonych, Achesona, europejscy obserwatorzy polityczni od razu wskazali, że źródła ustąpienia Achesona należy doszukiwać się w różnicach poglądów między Achesonem a Marshalllem na dalszy sposób prowadzenia „polityki dolarowej” Trumana.

Istotnie Acheson, którego odejście z urzędu przewidziane jest na 1 lipca, oświadczył, że jego zdaniem polityka „pomocy” Trumana powinna nosić charakter „ofensywny”. Przekładając to na język zwyczajny, należy rozumieć, że Acheson reprezentował w rządzie kierunek kontynuowania i rozszerzania polityki, stosowanej wobec Grecji.

Tymczasem sen. Vandenberg, który w izbach parlamentarnych USA uchodzi za autorytet w sprawach polityki ekonomicznej, oświadczył, że Kongres nie zamierza więcej uchylać dalszych kredytów na cele pomocy. Przypomnieć jeszcze należy, że Truman w swoim czasie dramatycznie apelował o uchwalenie kredytu na pomoc dla Grecji i Turcji do 31 marca, a Kongres flegetmatycznie sprawę tę przedłużył o dwa miesiące. Wszystko to razem wzięwszy świadczy, że polityka „pomocy” Trumana nie znalazła uznania w oczach izb parlamentarnych, aczkolwiek uratowały one zaangażowany prestiż prezydenta USA przez zaakceptowanie faktów dokonanych (Grecja otrzymała „pomoc” zaliczkowo — przed uchwałą Kongresu).

W tych warunkach nikogo dziwić nie powinna dymisja doradców Trumana, reprezentujących agresywny kierunek polityki „dolarowej”.

W każdym razie nutka rozgoryczenia i żalu pod adresem Senatu i Izby Reprezentantów, jaką usłyszeliśmy w ostatniej wypowiedzi Trumana do korespondentów prasowych oraz fatalistyczna bezradność w odpowiedziach na zapytania dziennikarzy w sprawie sposobów uniknięcia kryzysu gospodarczego w Stanach Zjednoczonych, wyjąją się wskazywać na zamknięcie dość burzliwego etapu w polityce zagranicznej USA.

(j.w.)

## „Zasadnicze” różnice

Tow. Minc uznał za potrzebne w swym referacie na konferencji warszawskiej PPR (a następnie w prasie) podać do publicznej wiadomości niektóre szczegóły rozmów między PPS i PPR na temat obecnej sytuacji gospodarczej. Oczywiście tylko niektóre. Ponieważ my mamy silne nerwy — jak Partia, która przeżyła już przeszło pół wieku — ponieważ my czujemy dobrze nasz związek z masami i zaufanie mas do nas, ponieważ nam nie potrzeba ani jednego hałaśliwego gestu, by to zaufanie mas utrzymać, przeto w interesie dobrej praktyki jednolitego frontu powstrzymujemy się od ujawnienia tych szczegółów rozmów, które tow. Minc uznał dla swych celów za zbędne.

Tow. Minc mówi tylko o tym, o czym mu mówić wygodnie. Ale czy tak znowu wygodnie? Wielkim „kamieniem obrazy” jest różnica w ocenie ilości zboża w kraju. Nie wiemy, poco tow. Minc wyciąga tę sprawę na forum publicznej dyskusji. Czy jak tow. Minc powie, że zboża jest dużo, to zboża przybędzie? A jak my powiemy, że zboża jest mniej, to zboża ubędzie? Ważne jest to, aby obydwie strony uzgodniły, że zboże, które jest, musi trafić do klasy robotniczej. W tym zakresie nie było trudności.

My wolimy zakupy „spokojne”. To też drażni tow. Minca. A dlaczego? Warto dobrze i uważnie przeczytać punkt 4 naszej rezolucji, który tow. Minc, jako stary praktyk, powinien świetnie zrozumieć. W istocie wolimy zakupy spokojne i planowe zamiast „partyzanckich”, których sens i skutki zna nie tylko tow. Minc, ale każdy, kto zahaczył praktycznie o ten problem. Jesteśmy przekonani, że potrafiłszy się tu doskonale porozumieć z tow. Mincem. A więc poco ta apoteza hałasu? Do czego to tow. Mincowi potrzebne?

Wbrew wielokrotnym wyjaśnieniom tow. Minc po staremu używa niepełnych i niewłaściwie zinterpretowanych danych dla uzasadnienia centralizacji całej dyspozycji gospodarczej w rękach M. P. i H. Dla tego celu trzeba bić w spółdzielczość, apoteozować państwowy handel detaliczny i opowiadać, że PPS chce monopolu dla „Społem”. Kto w to uwierzy? Nie chcemy monopolu dla „Społem” i nie chcemy „papierowej” walki z drożyzną. Nadto nie wierzymy, by przeciw drożyznie pomógł hałas. Jesteśmy trochę bardziej nowocześni, niż tow. Minc. Wierzymy w uderzenia silne, rzadkie, przemyślane. Nie wierzymy ani w hałas, ani w cepy. Hałasem zdobyto Jerycho. Cepami młóci się zboże. Ale ceny kontroluje się inaczej.

Na temat czwartej „zasadniczej” różnicy nie podejmujemy dyskusji (plan inwestycyjny). Nasza rezolucja jest jasna. Co zaś do istotnej treści krótkiego i może zbyt fachowego sformułowania naszego listu odnośnie rewizji niektórych pozycji planu inwestycyjnego — to mówić będziemy wtedy, gdy tę rewizję będzie przeprowadzał sam tow. Minc. Wówczas przypomnimy. Bez złośliwości.

Natomiast jeszcze raz wskazujemy na punkty 5, 6 i 7 naszej rezolucji. Są one pełne treści. Skutecznej — choć wcale nie hałaśliwej — treści. Cóż? Jesteśmy stronictwem najliczniejszym w Sejmie i chyba najsilniejszym w masach. Ale daleko nam do większości. Większości zatem się podporządkowujemy. Chcielibyśmy tylko, żeby inni już dziś doszli do przekonania, że te skromne środki, które proponujemy, mają jedną zaletę — są skuteczne.

Przynajmniej jeśli chodzi o cele, które publicznie zostały nakreślone.

(Robotnik, 19.5)

## Polityka i życie

# Nie chcę przedłużać sytuacji niekorzystnej dla Polski

Odpowiedzialni za losy naszego kraju politycy w wypowiedziach na temat polskiej polityki zagranicznej stwierdzają, że obok przyjaźni polsko-radzieckiej, która jest fundamentem naszej przyszłości — dążyć będą do przyjaznego zbliżenia z tzw. demokracjami Zachodu. Anglia jest obecnie krajem, który w pełni zrozumiał potrzebę likwidacji przejawów niechęci, jakie istniały między Polską i w Brytanią. Wskazują już na to konkretne fakty i wypowiedzi polityków brytyjskich.

Bevin po konferencji moskiewskiej, po wymianie poglądów z tow. premierem Cyrankiewiczem i ministrem spraw zagranicznych — Modzelewskim zmienił język swych oficjalnych wypowiedzi na temat Polski.

Pierwszymi etapami na drodze do poprawy współpracy polsko-brytyjskiej były — umowa handlowa i specjalny apel Bevina, zachęcający Polaków przebywających na emigracji do powrotu do kraju. Wygłoszone ostatnio w Izbie Gmin expose tego ministra nie pokrywa się wprawdzie całkowicie z naszymi poglądami na temat polskiej granicy zachodniej, tym niemniej odbiega jednak poważnie od tonu dotychczasowych wypowiedzi na ten temat. Bevin stwierdził: „Nie chcę przedłużać sytuacji szkodliwej dla Polski“.

W odpowiedzi na przemówienie Bevina w Izbie Gmin wystąpił z odpowiedzią — jako rzecznik konserwatywnej opozycji — Antony Eden, który atakował Bevina i wypowiedział się jako zdecydowany przeciwnik naszych dotychczasowych granic na Zachodzie. Na szczęście konserwatyści angielscy nie mają dziś posłuchu u narodu angielskiego, a władzę w kraju sprawuje Partia Pracy.

Polepszenie współpracy polsko-brytyjskiej jest niewątpliwie naszym dużym sukcesem politycznym. Ostatnia wizyta prawników polskich w Londynie i widoczne przejawy serdeczności z jaką byli podejmowani przez gospodarzy wskazuje, że ani odpowiedzialni przedstawiciele rządu, ani naród angielski, nie zaczęli wysiłków, aby tę współpracę umocnić.

W listopadzie odbędzie się w Londynie kolejna konferencja ministrów spraw zagranicznych, która być może doprowadzi wreszcie do rozstrzygnięcia problemu niemieckiego. Są coraz to wyraźniejsze przejawy, wskazujące, że konferencja ta może przynieść nam nowe dowody obopólnej dobrej woli.

## Blizny, które należy przysłonić przyjaznym gestem

Parlament czechosłowacki ratyfikował po dyskusji, układ o przyjaźni i wzajemnej pomocy, zawarty między Polską i Czechosłowacją. W związku ze wspomnianą dyskusją — czechosłowacki minister spraw zagranicznych — Masaryk oświadczył:

„Nie będzie w tej chwili błędem stwierdzenie, że u obydwu stron istnieją blizny drobne i większe, ale proszę was usilnie i proszę usilnie oba narody: przestańmy je sobie wzajemnie pokazywać. Zakryjmy je ręką przyjaźni i braterstwa, krótko mówiąc, starajmy się wzajemnie do siebie przyzwyczaić“.

O czym świadczą te słowa, jaką wyrażają prawdę? W okresie przedwojennym w środkowej Europie mieszkające tu narody żyły skłócone. Jest oczywiste, że największe korzyści ciągnęli z tego Niemcy, dla których bliska współpraca narodów słowiańskich była poważnym niebezpieczeństwem. Bis-

mark powiedział: „Gdyby nie było Austro-Węgier należałoby je stworzyć“. Znaczyło to, że narody słowiańskie zamieszkujące te tereny nie są zdolne do samodzielnego bytu. Dlatego właśnie słowa ministra Masaryka powinny znaleźć jednakowe echo tak w Polsce jak i w Czechosłowacji.

Jest to tymbardziej konieczne, że stabilizacja polityczna w środkowej części Europy, pociąga za sobą dwie możliwości rozwoju gospodarczego. Min. Masaryk stwierdził: „Dla nas wielkie znaczenie posiada komunikacja na Odrze, i tranzyt przez polskie porty. Polska z kolei może ciągnąć poważne korzyści z używania portów czechosłowackich na Dunaju i żegluga na tej rzece“.

## Znamienny kryzys

Premier rządu włoskiego de Gasperi zgłosił dymisję swego gabinetu. Powodem kryzysu rządowego we Włoszech jest sytuacja gospodarcza kraju i nacisk sił reakcyjnych wywieranych przez kapitalistów amerykańskich.

Istnieje bowiem znamienny fakt, że wspomniany kryzys zbiegł się z wyjazdem do Włoch misji ze Stanów Zjednoczonych, reprezentującej Bank Eksportowo-Importowy. Cała prasa demokratyczna Włoch ostro krytykuje tendencje zmierzające do rozszerzenia rządu na partie reakcyjne i monarchistyczne, oraz dążność do wyeliminowania z rządu socjalistów i komunistów.

Diennik socjalistyczny „Avanti“ twierdzi, że rozszerzenie rządu w ten sposób, jak proponuje de Gasperi oznaczałoby paraliż rządu i śmierć parlamentaryzmu. Przywódca komunistów włoskich — Togliatti stwierdza, że obecny kryzys stanowi niewątpliwie sześć rozległej kampanii plutokratycznej na pozycje demokratyczne.

Prasa reakcyjna nie ukrywa swego zadęczenia z powodu kryzysu. Obiecuje ona Włochom wielkie pożyczki ze Stanów Zjednoczonych, o ile powstanie rząd centrowy, ignorujący opozycję, której przewodzą Nenni (socjalista) i Togliatti (komunista). Przeciwsławiając się skierowaniu rządu na prawo, socjaliści i komuniści nie wykluczają jednak takiego rozszerzenia gabinetu, które nie spowodowałoby antydemokratycznych konsekwencji.

## Chleb ważniejszy od polityki

W związku z przednowkiem sytuacja żywnościowa wielu krajów europejskich uległa poważnemu pogorszeniu. Poważne zagadnienia związane z polityką zagraniczną schodzą w takich warunkach na plan dalszy. Rządy zainteresowane są w pierwszej mierze ratowaniem krytycznej sytuacji zbożowej.

Do krajów najbardziej dotkniętych brakiem chleba należy Francja. Strajk pracowników młynarskich wpłynął wydatnie na pogorszenie sytuacji. Rząd w takich warunkach wydał wezwanie do chłopów, aby wszystkie posiadane zapasy pszenicy oddali do dyspozycji władz. Brak chleba, mięsa i wina jest dziś największą troską rządu francuskiego.

Należy w związku z trudnościami aprowizacyjnymi zwrócić uwagę na fakt, że dostawy produktów żywnościowych ze Stanów Zjednoczonych, na które tak poważnie liczą zniszczone kraje Europy, są dzielone z dużym uprzywilejowaniem Niemiec. Niemcy organizują obecnie w niektórych miastach strajki i demonstracje głodowe. Jak jednak wykazują dokładne dane — zdołali oni ukryć poważne zapasy własnej żywności, aby móc krzyknąć o głodzie i żądać pomocy.

A. Pokorski



## Kryzys rządowy we Włoszech

Włochy, podobnie jak przed nimi Francja, stanęły w obliczu poważnego kryzysu politycznego, spowodowanego ustąpieniem rządu de Gasperi.

Zdaniem tygodnika francuskiego „Une Semaine dans le Monde” — kryzys rządowy jest przede wszystkim konsekwencją ciężkiej sytuacji gospodarczej:

„Sytuacja ekonomiczna Włoch — stwierdza „Une Semaine” pogarsza się. Zainaugurowana w ub. miesiącu przez de Gasperi polityka — nie dała spodziewanych rezultatów. Ceny na produkty żywnościowe — wzrosły. Przemysł włoski jest sparaliżowany przez brak surowca... Z drugiej strony eksport — stanowiący problem kluczowy dla Włoch — wykazuje stały wyraźny spadek”.

„Włochy są widownią wyścigu cen i zarobków — pisze „La Tribune des Nations” — w którym te ostatnie pozostają wyraźnie w tyle, czyniąc coraz bardziej realną groźbę inflacji. Wzrastające w następstwie niezadowolenie wśród społeczeństwa obrazuje się olbrzymią cyfrą strajków, ogarniających obszar całego państwa... Włochy przeżywają prawdziwą gorączkę polityczną. Sygnałem stały się wypadki na Sycylii w czasie obchodu pierwszomajowego”.

„Nowoje Wremia”, omawiając politykę gospodarczą USA w Europie dorzuca jeszcze jeden aspekt kryzysu politycznego we Włoszech: — interwencję Stanów Zjednoczonych.

„Dyplomaci amerykańscy otwarcie występują w roli „doradców” w sprawach wewnętrznych w Paryżu i w Rzymie i — dodaje — w Waszyngtonie opracowuje się daleko idący plan land — leasu czasów pokojowych. Pod tą nazwą wysuwa się program użycia miliardów dolarów dla wtrącenia w niewolę gospodarczą wielu państw, wywarcia presji gospodarczej na inne, lub wręcz izolowanie gospodarcze pozostałych, których ustrój społeczny i gospodarczy nie przypada do gustu prorokom amerykańskiego systemu. Rzecz jasna, że polityka taka nie może doprowadzić do dodatnich wyników”.

## Usuwać nieufność! Wymiatać połowiczność!...

Na Wojewódzkim Zjeździe PPS w Krakowie — przewodniczący CKW. PPS., tow. min. Osóbka-Morawski powiedział m.in.:

Jakie cechy charakterystyczne winna mieć droga do socjalizmu w obecnym wojennym okresie? Wydaje się, że następujące: 1) umiar reformatorski, 2) jednolity front, 3) dobre stosunki z mocarstwami, które popierają szczerze rozwój socjalizmu.

Taką drogę obrała polska rewolucja, zawdzięczając swe sukcesy i swe utrwalenia tym trzem warunkom.

Pozostaje nam jeszcze przeanalizowanie i porównanie naszej polskiej drogi jednolitofrontowej z próbami np. niemieckimi, dążącymi już dzisiaj do organicznej jednolitości ruchu robotniczego, zwłaszcza, że dziś się o tym dużo mówi po wystąpieniu 1 majowym tow. wicepremiera Gomułki.

W Polsce takie hasła realizować byłoby znacznie trudniej. W Polsce, można by to łatwo przewidzieć — łączenie mechaniczne na obecnym etapie 2 partii robotniczych: PPS i PPR — dałoby w rezultacie tylko dalsze rozbięcie ruchu. Zamiast zyskać na wzmocnieniu bloku demokratycznego, jednolitości narodowej — stracilibyśmy wiele.

Z punktu widzenia realizacji naszych wielkich zagadnień państwowych wkład klasy robotniczej, zjednoczonej w działaniu pod postacią jednolitego frontu, jest o wiele większy, niż mógłby być przy eksperymentach łączenia w jedną partię. Czy wobec tego hasło jednolitej partii w przyszłości jest w ogóle nieaktualne i szkodliwe? Oczywiście że nie. Jedność klasy robotniczej w Polsce i na świecie, jest hasłem słusznym i należy do niego dążyć poprzez praktykę dobrego jednolitego frontu.

A na odcinku praktyki dobrego jednolitego frontu mamy bardzo dużo do zrobienia i do poprawienia.

Przede wszystkim musimy się pozbyć kompleksu głębokiej nieufności wzajemnej, wyrażającej się między innymi w tym, że podobno PPR-owcy lepiej nadają się do służby w bezpieczeństwie, czy na „personalników”, a PPS-owcy znowu do służby skarbowej czy spółdzielczej.

Przynależność partyjna nie może kształtować nam w Polsce praktyki zawodowej, jeśli nie chcemy obniżenia poziomu zawodowego i wydajności pracy.

Jeśli nie pozbedziemy się nieufności wzajemnej w jednolitym froncie i nie zbliżymy się nawzajem — kiepska będzie perspektywa na zlanie się w jedną partię. Gdybyśmy mieli dzisiejszą nieufność wzajemną, dzisiejsze rozgrywki przeniesie do jednej partii, to słaba byłaby taka partia i niezdolna do twórczej pracy.

Jak usunąć wzajemną nieufność? My, z PPS, dajemy PPR gwarancję zaufania naszym jasnym i zdecydowanym, socjalistycznym i narodowym rozumowaniem politycznym.

Rozumowanie to jest bardzo proste, jasne i szczerze.

Tak jak demokracja w Polsce nie może się utrwać bez jednolitego frontu, tak samo niepodległość Polski nie może się utrwać inaczej, jak poprzez demokrację. Polska ma łatwy wybór drogi na odcinku polityki zagranicznej.

Z Niemcami czy ze Związkiem Radzieckim? Myśmy bez wahania drogę już wybrali. To że PPS rozumie polską rację stanu, winno być gwarancją dla PPR, że jednolity front dla nas to nie żaden „dopusz boży”, ani przemijający kaprys, ale słuszną, jedyną koncepcję polityczną.

A co może być gwarancją dla PPS?

Nam wystarczy dobra praktyka jednolitofrontowa i równorzędność w prawach obowiązków PPS-owca z PPR-owcem. Nie może być gorszych i lepszych. Wszyscy jesteśmy sobie równi wobec pojmowania zasad demokracji, służby społecznej i pracy dla Polski. Nie może być pierwszej czy drugiej brygady. Sądźmy ludzi po ich pracy i ich aktualnym stanowisku. Sędzią najlepszym niech będą masy robotnicze i chłopskie.

Problemem wewnętrznym w Polsce o największym ciężarze gatunkowym jest obecnie właśnie sprawa jednolitego frontu. Dbać o jego spójność i coraz większą zwartość; wymiatać połowiczność i zakłamanie, kłajstrowanie, przykładanie plasterków na ropiejące wrzody; usuwać nieufność i tzw. wzajemne „kiwanie” — oto najpilniejsze i najważniejsze zadanie. Tu się nie da nikogo oszukać, tu „kiwanie” się nie oplaca. Trzeba, aby to także dobrze uświadomili sobie wszyscy ci, co przychodzą do naszych szeregów w nadziei na sprowadzenie partii na PSL-owskie manowce walki z PPR.

(„Robotnik” 19.V.)

# Z dziejów i teorii socjalizmu

## (ciąg dalszy — IV)

Początkowe dzieje ruchu robotniczego zamknięte zostają przez ruch Czartystów w Anglii w okresie od 1837 do 1848, który jednocześnie zapoczątkowuje właściwy współczesny ruch społeczny.

Ruch Czartystów różni się od omówionych dorywczych wystąpień mas robotniczych, tym, że trwa nieprzerwanie z górą lat dziesięć i wykazuje cechy dobrze zorganizowanego ruchu. Jest to pierwszy ruch proletariacki w wielkim stylu; biorą w nim udział masy proletariatu.

Żądania tego ruchu wypływają z warunków życia proletariatu; naczelnym jego dążeniem była poprawa bytu materialnego robotników. Już wtedy postawiono żądania maksymalnego ograniczenia dnia roboczego. W ruchu Czartystów przejawiał się dobitnie antagonizm pomiędzy pracą a kapitałem, wybuchnęła w nim w całej ostrości nienawiść mas robotniczych do przedsiębiorców i stała się hasłem bojowym. Okrzyki w rodzaju: „Precz z nędznikami, co krew naszych dzieci piją” — rozbrzmiewały raz po raz pod oknami fabrykantów. Domagano się praw należnych pracy, waleczono o prawo do całkowitego dochodu z pracy, o tzw. „nadwartość”, którą wbrew słuszności pochłaniały kieszenie przedsiębiorców. Strajk uznano za środek walki. Przy tych wszystkich cechach współczesnego ruchu społecznego, ruch Czartystów wykazuje jednocześnie cechy przejściowe w następstwie faktu że nie zdołał wypracować jasno określonego programu proletariacko-socjalistycznego.

Ruchy społeczne, budzące się w owych czasach jako reakcja przeciw kapitalizmowi, który wsącza się we wszystkie pory organizmów zbiorowych — przejawiają się w poszczególnych narodach pewnymi im właściwymi odrębnościami, zanim wcześniej czy później nie zleją się w ogólny jednolity prąd.

Aby zdać sobie sprawę, co wniosły poszczególne ruchy narodowe do ogólnego międzynarodowego ruchu proletariatu, wyodrębnimy trzy typy wczesnych „ruchów społecznych”, których różnice i przeciwieństwa dobitnie się uwydatniają; są to typy: angielski, francuski i niemiecki.

Typ angielski ruchu społecznego, zapoczątkowany przez „okres heroizmu” proletariatu, jak nazwano walkę podjętą przez Czartystów, charakteryzuje się tym, że szybko utracił rozmach rewolucyjny i przeszedł już od roku 1850 w stadium spokojnej, trzeźwej bieżącej polityki, starając się o poprawę bytu proletariatu w ramach istniejącego porządku rzeczy. Stopień ostrza walki, taktyka trzeźwości oraz równoległa akcja krzewicieli nowe-

go „ducha” socjalnego, jak Tomasz Carlyle'a, — chrześcijańskich socjalistów jak Maurice'a, Kingsley'a, Ludlow'a i innych, sprawiły, że w ustawodawstwie angielskim wprowadzono pewne zmiany, korzystne dla mas pracujących, wprowadzono ochronę pracy; kapitał i praca wydają się rozumieć wzajemnie, uznawać swoje obustronne żądania i wchodzić na drogę „do społecznego miru”. W tym pozornym pojednaniu uwypukła się jednak ta okoliczność, że klasa pracująca w okresie swojej rezygnacji, jakiej poddała się po rewolucyjnej walce Czartystów, stworzyła i rozwinęła dwie instytucje, które stanowią fundamenty dzisiejszych zdobyczy socjalnych: są to organizacje zawodowe i społeczne. Podstawowe zasady całej współczesnej polityki zawodowej ufundowali po raz pierwszy angielscy robotnicy, tak, że rozwój ruchu zawodowego im właściwie mamy do zawdzięczenia.

Pierwszym stowarzyszeniem zawodowym w duchu nowoczesnym był związek zawodowy zjednoczonych maszynowców w 1851 r. był to przedewszystkim „trade-union” w prawdziwym tego słowa znaczeniu; był on związkiem robotników należących do pewnej gałęzi zawodowej. Fakt ten przeciał tendencje chaotycznego łączenia w organizacje ludności robotniczej okręgu bądź całego kraju niezależnie od rozmaitych zawodów.

Angielskie stowarzyszenia zawodowe osiągnęły w państwie powagę i wpływy. Wywalczyły prawo zbiorowych umów pracy i ustaliły ich współczesną formę. W 1874 r., kiedy ruch zawodowy w innych krajach, był dopiero w załóżkach, w Anglii odbył się w Sheffield kongres przedstawicieli prawie miliona zorganizowanych robotników angielskich.

Równoległe z organizacją związków zawodowych odbywa się rozwój stowarzyszeń spożywczych, których typ współczesny również stworzyła Anglia. W 1844 r. w małym miasteczku Rochdale otworzono sklepik. „Wśród naigrawań ulicznej gawiedzi, wśród szyderstw zaciekawionych kramarzy i obojętnych uwag przechodniów, w suterynach bocznego zaułka podniesiono ostrożnie w górę żaluzje magazynu, a za szybą wystawową pojawiły się drobne porcyjki masła, cukru i mąki”. Sklep był otwarty tylko dwa dni w tygodniu w godzinach wieczornych. Stowarzyszenie spożywców składało się z 28 członków samych proletariuszy. Był to załóżkowy początek ruchu kooperatywnego w Anglii.

Swoiste warunki społeczno-polityczne, swoista mentalność angielska, nie dopro-

wadziły wprowadzić ruchu proletariackiego w Anglii w owych czasach do utworzenia własnej partii politycznej, ale dały proletariatu w wszystkich krajach metodę organizowania ruchu i wprowadzenia instytucji rewolucyjno-socjalistycznych bez rewolucji.

Rozstaniemy się z Anglią i przedostaniemy się przez kanał La-Manche do Francji. Jakaż zmiana ogromna. Z krainy mgieł, dymów fabrycznych, ponurej atmosfery, siedziby ludzi poważnych, trzeźwych i oziębłych, przedostajemy się do miłej, słonecznej, pełnej ciepła Francji z ludnością żywą, pełną temperamentu i ruchliwości.

Ruch społeczny we Francji — burzy się i wre, kipi i gotuje bez przerwy od czasów „pełnej sławy” rewolucji w XVIII stuleciu. Na powierzchni życia zbiorowego wypływają bezustannie coraz to nowe partie, by wkrótce zginąć bez śladu; ruch kruszy się na niezliczone części i odłamy. Z porywcością nieopisaną, z niesłychaną gwałtownością następują po sobie czyny i wypadki. Walka o władzę polityczną w jednej chwili ustępuje miejsca krwawym bójkom na barykadach, spiskom lub morderczym zamachom. W masach i przywódcach tli bez przerwy, utajony, wewnętrzny ogień, który pod ożywym podmuchem wybuchu płomieniem i wszystko dokoła zalewa pożogą. We francuskim ruchu społecznym zawsze tkwiło — zdaniem Sombarta — coś chorobliwego, nerwowego, konwulsyjnego. Ten zadziwiający ogromem, prawdziwie imponujący w swych nieoczekiwanych, gwałtownych wybuchach, to znów jakby wyczerpany zaraz po pierwszych niepowodzeniach, społeczny ruch francuski — ogarniał zawsze wielkie widnokreśli, zawsze był pełen wielkich porywów ducha i genialnych haseł, lecz i wiele razy fantastyczny, marzycielski, chwytliwy w wyborze środków i dróg. Zawsze jednak jest pełen wiary w cud rewolucji. W tym aspekcie charakterystyczną cechą francuskiego typu ruchu społecznego jest jego rewolucyjność. Od 1840 roku roi się we Francji od niezliczonych, bezustannie zakładanych i rozwiązywanych tajnych stowarzyszeń, które wzorowały się na klubach z r. 1789 i 1793. Ożywiłone były ruchem Karbonariuszy i innych mieszczańskich spisków. Ten podziemny ruch znalazł wreszcie ujście w skrajnie radykalnym związku „Société des Travailleurs égaux”, który pod względem „romantyki bomb”, był bezpośrednim poprzednikiem naszych czasów.

(dalszy ciąg nastąpi)

(K. Z.)



piecznego dla pojazdów niewybuchu. Po dziesięciu minutach zajechaliśmy na miejsce. Wskoczyłem z auta i szybko wyrzuciłem nasz ładunek, gdy naraz otworzyły się głośno drzwi naszej kwatery i wyskoczył z za nich Dymowski, czerwony jak burak:

— Poruczniku! nie odstawiajcie wozu!

Wbiegłem do środka i to, co ujrzałem sprawiło, że ugięły się podemną nogi: Pawelek wynosił na dwór bladego, jak trup Czajkę...

— Czajkę ugodziła kula zbląkana, — mówił do mnie Rafał w kilka minut później — pomyśl tylko jakie to dziwne: jeszcze przed dwoma godzinami dobrowolnie zgłosił się do naprawienia zerwanych drutów telefonicznych. Wdrapał się na słup i dobrych piętnaście minut paradował tak w górę i — nic mu się nie stało. A przecież sytuacja zmieniła się trochę... — wskazał ramieniem wbitą w ziemię tyczką, na której szczytę żółta tabliczka ostrzegająca: nieprzyjaciel 2.500 m. Rano jeszcze nie było ani tyczki ani tabliczki.

— Pomyśl, jakie to dziwne — powtarzał Rafał, podając mi notatnik Czajki z rysunkami — Czy sądzisz, że kula zbląkana, padając prostopadle do celu, kula tej wielkości, co wywiercony przez nią w notatniku otwór, padając z odległości większej niż 2.000 m. i, napotykaląc opór w postaci dwóch grubych książeczek i munduru, mogłaby wyzłazić Czajkę poważniejszą szkodę?

— Chyba... nie. Co?

— .....  
— A... czy nie było słycać w tym momencie, gdzieś w pobliżu, żadnego wystrzału?

— W tym rozgardiaszu? /Dobrze, że ciebie tutaj nie było! Wszystko braćwo rozbiegło się... ja sam wlażem z Dymowskim do rowu i wcale nie słyszałem, czego chce, stojący pięć metrów za mną i wydzierający się Malinowski.

Z za zakrętu wypłynął „lazik“ i za chwilę por. Walczak mówił do nas, młarkotnie kręcąc nosem:

— Nie żyje. Jak tylko go położył dostał takiego... no, dostał takiej jakiejś czkawki..

— A L..la?

— Pojedziecie jutro obaj. Wiecie Radzikowski, gdzie jest ten szpital?

— Tak jest! — odpowiedziałem.

O Westerplatte nie było żadnej oficjalnej wiadomości. Modlin padł. Jedno z pism podało przedwzorzaj, że Łódź została Niemcom odebrana, więc jadąc dzisiaj znów „lazikiem“ po przydział czekolady, wydawanej w składach Wedla na Szpitalnej wstąpiłem do budynku pocztowego przy Brackiej i natem do Łodzi sto pięćdziesiąt złotych. Napewno matka ucieszy się...  
A Czajki już nie było. Pochowali go zaraz...

\*\*\*

Ktoś cicho zwrócił się do mnie po imieniu. Poznałem głos Rafała i podniosłem powieki.

— ... Człowiek wiedziałby, czy ogluchł, czy też... — mówił podchorąży. Oczywiście! znów leżałem na łóżku w atmosferze „szpitalnej“. Tym razem w jakimś schronie przeciwlotniczym. Rafał patrzył na mnie, tak poważnym wzrokiem, że miałem najszczerszą ochotę wybuchnąć śmiechem. W chwili jednak, kiedy otworzyłem usta, aby powiedzieć mu, że „nie ogluchłem“ uczulem straszny ból w tyle głowy. Wstrzymałem oddech. Miało być tym razem gorzej?...

— Rafał — szeptałem nie otwierając oczu — i gdzie on teraz...?

— Nie wiem... uciekł... — słyszałem, jak podchorąży przybliżył się do łóżka — ale datęś mu trochę na drogę, co?

— .....  
— No przecież wszyscy, którzy cię potym widzieli zauważyli, że miałeś prawą dłoń zakrwawioną.

Otworzyłem oczy.

— Kiedy drab zaczął mnie dusić, chwyciłem go za łeb...

— A możeś go... oskalpował? Przyznaj się!

— Nie! czym zresztą? mogłem mu najwyżej uszkodzić ucho. Prawą ręką lewe ucho. Było mi wszystko jedno za co go ciągnę... chwycił mnie mocno za gardło, więc krzyknąć nie mogłem...

— A jak się ta historia zaczęła?

— Po prostu: wyszedłem na chwilę. Dochodzę do plotu a tu widzę, że ktoś przedemną umyka schylony. Jakis cwili. Akurat zbliżyła rakietka...

Biegnę za nim ale potykam się o jakieś łachy i padam. Patrzę: mundur. Zastanawiam się, kogo tu zawołać, ale w jednej chwili wali się rudałec prosto na mnie i chwytła mnie za szyję...

— I nic ci nie mówił?

— Nie. Zdaje się, że nazwał mnie tylko „polską świnią...“

— No i... uszedł, co?

— A no tak... Kto by przypuszczał, że taki Ziółkowski...

\*\*\*

Otworzyły się drzwi i stanął w nich Pawelek.

— No, wchodźcie...

Pawelek milczał.

— No wejdźcie, kolego. Ciągnie od drzwi...

Gość mój podszedł do łóżka, na którym leżałem okryty czterema grubymi kocami i wybaluszył na mnie gały.

— Przyszlizście sami, kolego Pawelek?

— Tak...

— Rafał też przyjdzie?

— Nie... Nie ma go...

— Nie ma?!

— Nie ma nikogo... Pewnie złapani ich szwabzy...

— Jak to?!

— No... nie ma nikogo — jest tylko ten stary major... Ten, co to tak zawsze kłął... no i ja. Malinowski kazał mi rano pojechać razem z tym majorem do miasta. Byliśmy w telefonach, na Zielnej, a kiedy wróciłem, to już nikogo nie było...

— Jaki nie było?

— No może i byli, tylko... już nie można tam się dostać. Szwabzi weszli Na ulicy jest ich pełno... Fotografują i rozdają cywilom chleb — wyjął, wpatrując się we mnie przerażonym wzrokiem — Ja zaraz wróceł! — krzyknął i wybiegł...

— Pawełek stał znów przede mną, trzymając w rękach ciemne ubranie cywilne i białe pudło.

— A skąd to — zapytałem.

— Jakaś kapitanowa z drugiego piętra dała mi... to po jej mężu. Przyjdzie tutaj... powiedziała, przyniesie koleżdze trochę ryżu... czy też jakieś kaszki... Ale zobuz oszukał mnie... chol...!

— Co takiego?

— W bramie... od jednego szewca kupłem parę butów... dla was. Pokazał mi tylko jeden, zamuszowy. A mnie się spieszyło... Dopiero ta kapitanowa z drugiego piętra zauważyła, że drugi but jest inny... Lakterek. Na ciął mnie cholera, warszawiak. Ale to nic. Zatrzyman je dla siebie... mamy jednokową nogę... A dla kolegi kupimy inne...

Pawełek nie potrzebował wydawać pieniędzy, bo kapitanowa przyniosła mi parę półbutów, z miękkiej żółtej skóry.

— A gdzie to my jesteśmy, proszę państwa? — pytał uprzejmy, jak nigdy dotąd, — kiedy słowiska niewiasta stawiała na moim łóżku talerz z bułkami i kaszą-manna.

— Niedaleko stąd... nad nami, jest ulica Piusa XI.

Weszliśmy z Alci Jerozolimskich w Bracką.

— Wiesz co Stefan? — mówił do mnie Pawełek — dla mnie nie ma drogi do domu... ja nie mogę tam wracać. Wiesz ilu tam jest Niemców...? Ja sam mam takich dziesięciu na głowie. Oni mnieby w łyzce wody utopili. Wrócić tam, to znaczy samemu na siebie podpisać wyrok...

— Ja Pawelku nie inaczej... i mój brat, Ryszard też tak samo... Kto wie gdzie on teraz jest... Podchorąży, taki jak Rafał... a może jeszcze też-szy...

dostać się na Czerniakowską. Tam z budynku Ubezpieczalni Społecznej pobrali miełszy, przydzielone Dowódcy Baonu wałę i bandaże, a po drodze mieliśmy zahadować w zombardowanej fabryce konserw, kilka puszek ogórków. W pewnym momencie spostrzeżliśmy przed nami jankesów młodszego żołnierza, klęczącego na jednym kolanie i... celującego w niebo. Obok niego znajdowała się grupa cywiliów z nosami zadartymi do góry. Porucznik Walczak skierował auto na stronę i zatrzymał je w odległości nie większej niż 20 metrów od nich. Spojrzeliśmy do góry. Po błękitnym niebie płynął powoli gruby, szerokostrzydły, trzymotorowy Junkers, znacząc swą drogę tysiącami lotek — zresztą o dobrze nam znanej treści. Leciał na wysokości conajwyżej tysiąc dwieście metrów. Żołnierz strzelał regularnie i sprawnie, jak gdyby zahipnotyzowany przez otaczających go cywiliów.

— Te lotki są zatrute! — mówił głośno jeden z nich.

Samolot miał znaleźć się niebawem nad naszymi głowami. Wokół zabłykały karabiny maszynowe i ręczne.

— Wariat? — mruknął porucznik, nie odrywając wzroku od Junkersa i głośno zwrócił się do żołnierza, rąbiącego do wielkiego celu w tempie znacznie przyspieszonym:

— Nie szkoda wam amunicji.

Chłopak, nim spojrzał na Walczaka, kropnął jeszcze raz i, już nie zdążył odpowiedzieć, bo cywile zaczęli wrzeszczeć w niebogłosy. Samolotu nie było. W powietrzu krążyły już tylko strzepy. Po chwili rozległ się niedaleki huk upadającego kaleki i z za drzew parku, przed którym staliśmy, wzniosł się kłęb szary, gruby dym. Nawet nie spostrzeżliśmy, kiedy ulotnili się ludzie, jacy spowodowali nas do obejrzenia tego — młodego, natomiast mówiącego — widowiska. Pewnie sądzili, że samolot, zestrzelony został przez karabin ręczny, zdołowanego żołnierza i pobiegli za park...

Kiedy wsiadaliśmy znów do „hazika“, jakiś baterjny oddziałnik radiowy, uskwapiony w oknie małego domku jęczał przeraźliwie przez chwilę a później zachrapał: „alarm lotniczy dla miasta Warszawy...“ Łazik ruszył już, kiedy posłyszeliśmy nad głowami znaną muzykę oblatywanych bombowców niemieckich. Leciały, pewnie przed siebie, nie zwracając żadnej uwagi na rozrywające się obok nich pociski artyleriści przeciwlotniczej. Czy te samoloty naprawdę były z tektury...?

Bomb spadło wtedy conajmniej sto. I w conajmniej stu miejscach Warszawy rozległy się wtedy płacz i wołanie do nieba o pomstę...

Ostatnich pięć kilometrów drogi „hazik“ nasz przebył pod gradem kul samolotowych karabinów maszynowych i odłamków pocisków artylerijskich. Jeden taki pocisk padł w odległości około trzydziestu metrów przed nami rozpadłszy zakręcił się kilkakrotnie w miejscu i... nie wybuchł. Walczak gwałtownie zahamował wóz. Kilku chłopaków z „Ochrony Przeciwlotniczej“ znowo już ceżyły i płynnie wapno dla wyraźniejszego oznaczenia niebez-



# PRZYPOMINAMY

## Ostatnia podróż Prezydenta

Bezpośrednio po podpisaniu dekretu odraczającego sesję Sejmową na dni 30, prezydent Rzeczypospolitej, p. Ignacy Mościcki, wyjechał w jeszcze jedną podróż reprezentacyjną po kraju, tym razem po województwie warszawskim.

Wycieczkę odbywał wraz z liczną swą świtą limuzynami. W miejscowościach, przez które przejeżdżał, wystawiono ogółem około 30 sztuk bram triumfalnych, naprzeciw wyjeżdżały konne banderie „strzelców“, wymaszerowywały garnizony wojsk i policji. Następnie odbywały się reprezentacyjne śniadania, obiady, podwieczorki, kolacje i bankiety, zależnie od pory przyjazdu do danej miejscowości.

Delegacji robotników i bezrobotnych tym razem p. prezydent Rzeczypospolitej nie przyjmował wogóle.

Zdarzyło się w Makowie, że w momencie, gdy p. I. Mościcki wysiadał z reprezentacyjnej limuzyny, jeden z najbardziej znanych i zaszczytnie zasłużonych obywateli Makowa, radny miasta i kierownik miejscowej spółdzielni spożywców oraz czynny działacz w szeregach PPS — Piotrowski, wzniósł okrzyk: „Niech żyje Sejm! Precz z dyktaturą!..

I w tym momencie stało się coś nieprawdopodobnego.

Banda włóczących się z bankietu na bankiet za prezydentem osobników „w cywilu“ oraz kilkunastu policjantów mundurowych, rzuca się na radnego Pio-

trowskiego, bije go do krwi, wykręca w tył ręce, transportuje na odwach policyjny...

Za okrzyk na cześć Sejmu i konstytucyjnego ustroju państwa, na oczach prezydenta Państwa — najwyższej władzy wykonawczej w Polsce...

Symboliczny ten fakt mimowoli u milionów obywateli kojarzy się z ostatnim dekretem p. I. Mościckiego, odraczającym sesję Sejmu, mimowoli kojarzy się z odnośną uchwałą stronnictw Lewicy i Centrum, stwierdzającą:

zarządzenie p. prezydenta Rzeczypospolitej, odraczające zwołaną z inicjatywy poselskiej sesję nadzwyczajną Sejmu, uniemożliwia walkę z kryzysem gospodarczym i jego skutkami, niszczącymi same podstawy istnienia mas pracujących miast i wsi;

Odpowiedzialność konstytucyjna i parlamentarna za to zarządzenie spada na gabinet p. Walerego Sławka; odpowiedzialność wobec historii ponosi w pierwszym rzędzie p. prezydent Rzeczypospolitej, wciągnięty do „gry“ obozu politycznego, którego przedstawicielem jest gabinet p. Sławka.

Stwierzeń tych znów przekreślić i wymazać z sumień obywateli wolnej Rzeczypospolitej nie zdołają nowe z kolei perfidne manifesty pyskających „lamaczów kości“ o „niewciąganiu do gry politycznej osoby p. prezydenta“.

(„Pobudka“ nr. 25 r. 1930).

## Jak podróżuje p. Prezydent

Gała, blask, trzydzieści bram triumfalnych, jednym słowem święto... pan prezydent jedzie! Okrzyki na cześć Sejmu i przeciw dyktaturze na uroczystościach tych nie są mile widziane, chociaż ten i ów z uczestników manifestacji uczuć dla prezydenta, pamiętając, że to Sejm wybrał prezydenta, nie widział w takim okrzyku nic zdrożnego. Władza jednak wie lepiej i sadza wołających do kozy. Władza zawsze wie lepiej.

Postaraliśmy się zebrać trochę informacji jak te objazdy rozumie władza. Trzeba o tym wiedzieć zwykłym poddanym.

Pan prezydent ma się zatrzymać w pewnym dworze. Gospodarz uradowany z okazanego mu szacunku. Dowiaduje się na ile osób ma liczyć, ile łóżek ma przygotować i czeka na radosną chwilę. Ale w ostatniej chwili dają mu rozkaz powiększenia ilości łóżek z 20 na 30. Ten rozkaz pana gospodarza trochę zastanowił, spostrzegł, że już przestaje być gospodarzem, ale nic nie mówiąc przyjął

nową dyspozycję, sądząc, że to już takie zwyczajne bezceremonialne panują.

Tymczasem nowa wysunęła się trudność. Postanowiono urządzić wieszercę z udziałem przedstawicieli miejscowego społeczeństwa. Pan gospodarz myślał, że ma jakiś głos w sprawie kogo ma do swego domu zaprosić. Zresztą w porozumieniu z odpowiednim urzędem sporządził listę zaproszonych gości. Lista ta poszła na zatwierdzenie wyższych instancji. Tam nie spieszą się; zawiadomili tylko, że lista będzie musiała ulec zmianie. Wobec tego na kilka dni przed ową wieszercą musiał gospodarz wysłać do szeregu osób list głoszący:

„Proszę się przygotować na ewentualność wzięcia udziału w wieszercy, urządzanej dla uczczenia pana prezydenta“.

Dopiero w ostatniej chwili ewentualność zmieniła się w pewność, przynosząc jednym gorycz rozczarowania, innym zakłopotanie nagłej i niespodziewanej przyjemności.

\* \* \*

Na dworcu w Kutnie stoi pięć wagonów. Wśród nich salonka. Pytają kolejarze kręcących się koło tych wagonów młodzieńców: dokąd i pogo jadą?

— My, przysposobienie wojskowe, już czwarty raz jedziemy witać prezydenta...

W jednym z miast przez pomyłkę wręczono jednemu z naszych prenumeratorów następującą depeszę, adresowaną do miejscowego biura BB z Warszawy:

„Jechać Aleksandrów — Gostynin. Koszta zwracamy — Duglasiewicz“.

A kto koszta zwrócił BB w Warszawie?

(„Pobudka“ nr. 26 r. 1930)

## Z obowiązku p. Prezydenta

Rzecz dzieje się w Łowickim. Oczekiwany jest przyjazd p. prezydenta Rzeczypospolitej do wsi.

Jedną z chat gospodarskich objają nagwałt deskami, które obmalowuje się na biało. Wewnątrz chałupę tapetują, tapety objają kilimami. Ze dworu pożyczają meble i naczynia, którymi ozdabia się izby. Na ścianie zawieszają duży portret p. prezydenta

Wreszcie przyjeżdża p. prezydent, którego wprowadzają do „pierwszej lepszej“ chałupy wiejskiej, przypadkowo do tej, o której wyżej była mowa.

Gospodarz i gospodyni kłaniają się w pas, przyjmują prezydenta chlebem i solą, a pan prezydent podziwia zamożność gospodarza.

— To wy gospodarzu ładnie mieszkać! — powiada.

— Ano, chwalić Pana Boga — odpowiada nauczony gospodarz.

— Toście to wszystko własną pracą zdobyli? — pyta dalej łaskawy pan prezydent.

— Ano, najjaśniejszy panie prezydencie, juści, że człek całe życie pracował, ale jak mi zeszłego tygodnia ostatnią krowinę zabrali, to myślę, że musieli mi za to coś kupić do chałupy.

W innej wsi, jakiś młody parobczak tańczy z jakąś wiejską niewinnością przed panem prezydentem. Parobczak ślicznie wywija i pan prezydent zaszczyca go rozmową:

— A wy skąd jesteście?

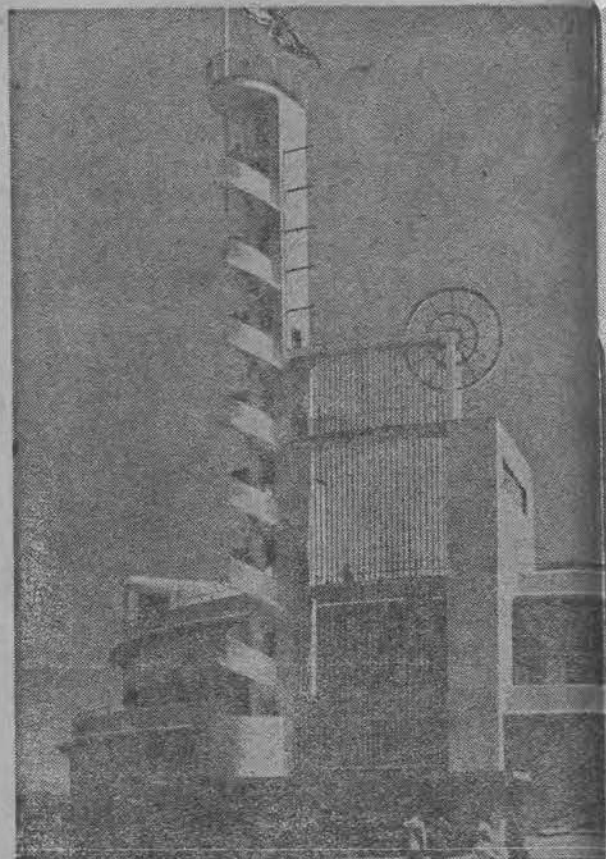
— Dopraszam się łaski pana prezydenta ze wsi Wielkie Grabowice o sześć wiorst stąd, młyniarzowy syn jezdem. A jeszcze śmiem się dopraszać łaski pana prezydenta, że jak najjaśniejszy pan prezydent drugim razem do nas przyjedzie, to już żeby nas nie trzymali trzy dni, bo chociaż my są chłopcy nieuczzone, to same wiemy, żeby nam prezydent żył i uczyć nas tego bez trzy dni nie potra.

(„Pobudka“ nr. 26 r. 1930)

# W świecie



Król umarł! — Niech żyje król! Po śmierci Chry-  
stiana X na tron wstąpił syn jego, Fryderyk IX.  
Na ilustracji nowy król z małżonką.



Niel — To nie reprezentacyjny gmach Targu  
rozrywkowym słynnego kąpieliska



Wielka Brytania nie przebiera w środkach zaradczych, ale pomimo tego  
zamieszki w Palestynie nie ustają i coraz bardziej nabierają cech planowej  
walki z okupantem. Szczególnej obserwacji poddają władze szosy i koleje.  
Na zdjęciu skrupulatna rewizja aut na trasie Haifa — Jerozolima.



Likwidator ghetta warszawskiego  
Stroop, został wydany przez Al  
zdjęciu — ponura scena z tak  
Małoletni mieszkaniec ghe



## i w Polsce



ow Poznańskich, lecz pawilon w parku  
ka nadmorskiego Blackpool,



Pracowite ręce polskiego rolnika i robotnika usu-  
wają ślady zniszczenia wywołane działaniami  
wojennymi na Ziemiach Odzyskanych. Na ilustracji  
wzorowe zabudowania osadników rolnych w powie-  
cie Świdnickim na Dolnym Śląsku.



ro, gen. SS i policji Jurgens  
i antów władzom polskim. Na  
wiedawnej jeszcze przeszłości  
ta idzie na śmierć...



Zniszczone w czasie odwrotu niemieckiego gigantyczne mauzoleum  
Hindenburga, tzw. „Tannenbergdenkmal”, pod Olsztynem, jest widomym  
znakiem zwycięstwa nad krzyżactwem. Na zdjęciu ruiny, które ulegną nieba-  
wem całkowitej rozbiórce.

# NASZ KONKURS 20)

Poniżej drukujemy 20 skolei odeńnek naszego Konkursu. Przypominamy, że warunkiem wzięcia udziału w losowaniu nagród jest nie tylko trafne rozwiązanie, ale i punktualne nadesłanie rozwiązania do redakcji.

Termin nadsyłania rozwiązań Konkursu nr. 20 upływa z dn. 21 czerwca br. Rozwiązania z datą stempla pocztowego późniejszą — nie będą brane w rachubę.

W rozwiązaniu podać trzeba — przypominamy jeszcze raz — tytuł książki z której fragment został zamieszczony, nazwisko autora, oraz własny, dokładny adres i nazwisko.

Wszyscy słyszą słabe uderzenia w rurę. Między jednym a drugim uderzeniem chwila ciszy. Czasem słychać nie uderzenie, lecz stłumiony chrobot metaliczny. Jakby wyczerpana dłoń z kamieniem ześlizgiwała się z rury. Tam leży ktoś na spągu, wspiera się na lewej dłoni, w prawej trzyma kamień, uderza, a ciężki kamień krzesze po rurze. Teraz już ustał.

Odpowiedzieć im! — szepce wzruszony Szeruda.

Górnik wali mocno. Po rurze leci do obwałowania głos mocny, dźwięczny życie niosący.

— A teraz wpuścić im powietrze! A śpieszyć się!... Śpieszyć się, bracia!...

Do godziny dziesiątej wałęsał się w kopalni. Był już ogromnie zmęczony. Unikał samotności, płał się między górnikami. Rozmawiał z każdym, kto się nawinął. Ludzie patrzyli na niego ze zdumieniem. Jeszcze go nigdy takim nie widzieli. Zachęcał ich do wysiłku. Obiecywał podwójną dniówkę, jeżeli dzisiaj dojdą do Richtera. Kiedy w końcu usiadł przy kotłowni ogarnął go sen. Połknął się, że usnie. Poszedł więc pod szyb, znowu popędzając ludzi do pośpiechu.

Wagner z Szerudą pomagali w przodku. Zrzucili marynarki, zakasali rękawy i odwalali kamienie. Ludzie byli podnieceni. Półnaczy spoceni, dyszący z wysiłku, prześcigali się w pośpiechu. Ocierali się o Szerudę, razem z nim toczyli głazy, wspólnie zapierali się i zachęcali do wysiłku. Znikała dotychczasowa różnica między nim, a ludźmi. Widział się w ich towarzystwie już nie jako zawiadowca kopalni, lecz jako po prostu człowiek, przeżywający to samo, co oni. U ludzi również zatarła się różnica między nimi a Szerudą. Widzieli w nim swego towarzysza.

Jeszcze bardziej czuł się z nimi związany, kiedy zsypujące się glazy groziły zawaleniem.

— Umknij! — krzyknął na niego jeden z rębaczy.

Szeruda nie słyszał jego wołania, bo łoskot pracy i gwizd powietrza wszystko tłumili. Nie widział także grożącego niebezpieczeństwa. Przykucnął nisko i podbijał stempel od dołu. Zmienacka wyczuł, że opasują go mocne ramiona zarzucone z tyłu koło jego piersi, że go ktoś odwleka i sapie nad nim:

— Pieronie, nie widzisz!...

Zwalily się kamienie w to miejsce, gdzie pracował przed alankiem sekundy.

— Dziękuję wam! — rzekł tylko górnikowi.

— Nie ma za co!...

Mijały godziny. W połowie szychty sztygar Kunc udał się pod szyb, żeby zatelefonować do lazaretu. Ludzie zaś nie ustawali w zajadlej pracy. Śpieszyli się. Gdzie się stemple połamały, podbijano żelazne słupy. Chłopcy gonili z taczkami. Powietrze było duszne. Pot zalewał oczy. Rębacze odwalali rumowisko z coraz większą łatwością. Ostatni spory kamień, który zagroził im drogę, rozbili młotami. Szeruda dygotał ze wzruszenia. Wagner był spokojny. Oczy mu tylko gorzały pod czarnym hełmem. Wrócił Kunc i zameldował, że już przypro-

wadził lekarza z dwoma sanitariuszami. Płaskie wagoniki na przewiezienie załogi Richtera oczekują pod trzecią pochylnią.

— Spieszcie się kamraci! — zawołał Szeruda i znowu jął z Wagnerem i rębaczami odwalać kamienie. Brodzili w wodzie po kostki. Błoto lepiło się po nogach i dłoniach. Cuchnęło rozkładającym się trupem.

Za godzinę, gdy odsunęli wielki, płaski głaz dojrzeli wysterkującą z boku z pod rumowisk zmiążdżoną dłoń ludzką. Nie zrobiła na ludziach wrażenia, Szeruda tylko pomyślał z gorczyzą:

— To pierwszy!...

Odór zatykał oddech spod odsuwanych kamieni wyłaniał się rozbitý trup. Nie można było poznać, kto to jest. Twarz była rozgnieciona i zalepiona skrwawionym błotem. Odgrzebano go w końcu, wywleczono do upadu. Ludzie zatykali nosy, odwracali głowy. Lekarz z sanitariuszami jął oblewać zwłoki ostrą strugą wody.

— To Zuczek — szepnął Szeruda, kiedy spod błota wyszczerzyły się zęby i ukazała sina twarz chłopca. Przypomniał sobie jego matkę, zabierającą Matce Boskiej Jezuska. Zagryził usta, gwałtowny bolesny skurcz zdusił w nim serce. Wrócił do przodku. Pragnąc ukryć wzruszenie, krzychał na ludzi żeby się śpieszyli, i walił młotem w kamienie. Wagner zmierzył długość odbudowanego wału. Jeszcze jeden metr pozostaje. Za pół godziny najwyżej już przebiją.

Nie minęło pół godziny, gdy kilof jednego z rębaczy trafił w próżnię. Pod stopem wygrzebanego chodnika ukazał się otwór. Skoczyli wszyscy, rękami wygarnęli kamienie, nogami odgrzebali. Zsypują się kamienie po tej i, po tamtej stronie. Czerni się coraz większy otwór.

— Żyjecie? — krzyknął w jego głąb sztygar Kunc.

Szeruda chwycił hak lampy w zęby i wczuł się na drugą stronę. Za nim Wagner, za Wagnerem reszta górników. Szeruda podnosi wysoko lampę i świeci. Oto wszyscy, leżą na spągu. To Donocik! Patrzy osłupiałym wzrokiem i coś mamle. Obok niego Pietryś! Głowę ma wspartą na Donocikowej piersi. Pod ścianą jeszcze ktoś. Kto to! To Piekarczyk!... Leży na wznak z krzyżem w splecionych dłoniach. A tam jeszcze dwóch! Szeruda schyla się, świeci. To Handzel. Otwiera oczy z wysiłkiem. Obok niego Richter. Leży na spągu. Na widok światła wstaje, wspiera się ciężko na dłoniach, i znowu kładzie się na spąg. Szeruda klęka obok niego, podnosi mu głowę, świeci w oczy. Twarz chuda zapadła i czarna. Oczy płoną gorączką. Włosy bielą się w świetle.

— Richter! — woła Szeruda, a głos łamie się na strzępy. Richter podnosi oczy patrzy nieprzytomnie na Szerudę.

— Richter! — woła znowu Szeruda. — Poznajesz mnie?

Richter przypomina sobie. Oczy nabierają blasku. Po twarzy przelatują drobne skurcze, czoło marszczy się w bruzdy. Teraz coś szepce. Szeruda nachyla się do jego ust! Poprzez nawoływania i gwar ludzi słyszy urywane słowa.

— Dziękuję... panie... zawiadowco!... Tamtych trzech... najpierw... ratujcie!...

Szeruda dostaje złudzenia, że przestępuje jakiś wysoki próg. Nie ma czarnej szumiącej ściany, której tak bardzo lękał się przed chwilą. Jest tylko wysoki próg. Pod, progiem zostawił wszystko, a wstępuje jak człowiek, któremu niewidzące oczy pomazał śliną palec Boży. Przechodzi go wielka cisza. Nachyla się ponownie podnosi Richtera, przygarnia do piersi i tkliwie głaszcze po siwych włosach.



ra z szoferem, dźwięk rozruszanego silnika samochodowego i poczułem, że jedziemy wolno po jakiejś drodze polnej, pełnej wzgórków i dziur.

Kiedy wydostaliśmy się na szosę, poruszony hatasem przejeżdżających obok nas motocykli, samochodów i czolgów, otworzyłem na chwilę oczy. Wewnątrz samochodu panował półmrok. Podłagałem koc, jakim byłem nakryty, bardziej pod szyję i przestałem myśleć o piekielnej muzyce podwarszawskiej szosy.

Było mi wszystko jedno w jakim kierunku spieszą przejeżdżające obok nas samochody i wozy konne...

## ROZDZIAŁ IV

### POŁBUCIKI

Kiedy obudziliśmy się, był już dzień ósmy września 1939 roku. Leżałem na miękkim i ciepłym łóżku w jasno oświetlonej izbie. Przy stole, zastawionym pustymi butelkami od piwa, siedział Walczak, Dymowski i Rafał.

Na otomanie chirpał Malinowski. Na oknie, do którego uparcie zaglądała ciemna jesienna noc, stał budzik.

Była godzina druga.

\*\*\*

Czy odważę się kiedyś zapytać moich przyjaciół jak to się stało, że znalazłem się w wozie Czerwonego Krzyża, który powiózł mnie do Warszawy? Jak to się stało, że znów znalazłem się w ich gronie? Chyba nigdy...

Już siódmy dzień jesteśmy znów razem i żaden z nich ani Dymowski, ani Rafał, ani Malinowski nie wspominali w mojej obecności o naszym rozstaniu się, koło Strykowa. Kilkakrotnie próbowałem delikatnie wybiadać Pawelka, ale szelma za każdym razem odpowiadał jednako:

— No, jak tylko zabrał parę podchorążego na auto, to my na wóz i... w kinę. Obudziliśmy się pod Łowiczem, jak nas dogonił sierżant Dymowski i por. Walczak. —

\*\*\*

Znajdujemy się w Warszawie, a raczej w małej wiosce podwarszawskiej na północny zachód od Woli. Wczoraj późnym wieczorem spadły na Warszawę pierwsze pociski niemieckiej lekkiej artylerii. Dzisiaj Walczak zabrał mnie swoim „laziktem“ do miasta, miałem więc możliwość naocznie przekonać się o wyrządzonych przez niemiecką artylerię uszkodzeniach. Domy w śródmieściu pozabawione zostały balkonów, a przez ludzi, powstałe na skutek wybuchu pocisków, ukazywały się wnętrza mieszkań. Czy wiedzieli warszawianie o tym, że czekać ich może jeszcze coś gorszego...? Czy mogli wyobrazić sobie swą nędzę po tygodniu oblężenia stolicy?

Zjechalśmy łagodnie od Placu Trzech Krzyży w dół w Książęcą, aby

Przechodziliśmy obok dwóch policjantów. Stali nad rowem przeciwlotniczym, w którym znajdowała się skrzynia zapełniona karabinami i rewolwerami. Obok leżała błyszcząca szabla. Zohnierze chcieli ukryć broń przed szwabami, ale policjanci byli pilni, bardzo pilni...

Ulicą przejeżdżał wielki samochód ciężarowy wytwórni filmowej „Ufa“. U góry plakatu przyczepionego do tyłu samochodu czerniły się wielkie gotyckie litery: „Der Führer hat uns frei gemacht!“ Potknąłem się o coś. Była to zakrawiona czapka jakiegoś kaprala. Z bramy wyleciał i przebiegł przed naszymi nośkami na drugą stronę ulicy jakiś „warsławiak“. Ugiął się pod ciężarem uda końskiego. Koń musiał być wojskowy, bo podkoka była dobrze przybita...

\*\*\*

Przed nami stało trzech szwabów. Jeden z nich, cywil miał białą jak u trupa twarz, a dwaj jego kamraci — trupie czaszki, na wysokich okrągłych czapkach.

— Łże! Łże, jak najęty — parsknął cywil — spojrzcie tylko na buty tego psa... on w nich tufa! napewno nie przyszedł! Papierzy! gdzie masz papierzy!?

Zal mi było Pawelka.

— Przecież mówilem już — odezwał się po niemiecku — że jesteście my z za Brześcia... tylko nam się wszystko spaliło w nocy. A kolega nie rozumie po...

— Trzymaj pysk!!!

Pawelek, zgrzytając zębami patrzył na czubki swoich półbutów. Przekiwał chwilę, w której dał warszawskiemu szewcowi, za nie dwadzieścia złotych.

Niesumienny „knajaku“ warszawski! Oszukując Pawelka, nie przypuszczając napewno, że pomożesz Niemcom wepchnąć dwóch młodych ludzi na długą i niebezpieczną drogę...

## ROZDZIAŁ V

### PRZED ODRĄ JEST MIEDZYRZEC...

- Pawelek Sylwester!
- Hier! Brest Litowski!
- Radzikowski Stefan!
- Hier! Brest Litowski!
- Placz-kowski Ładeus!
- ...Lodz
- To my się jeszcze nie znamy?
- Nnnie...
- Tadeusz Placzkowski z Łodzi był twardym chłopakiem... Nawet nfe

jęknął, otrzymawszy gumową paką, potrzebne uderzenie w głowę... I nie trwało nawet pięć minut, a znów stał na nogach...

Biedakui! czemuś nie ryzykował? uciekłeś Niemcom z fabryki w Berlinie, do której cię wysłali. Mówisz, że droga było prosta, wskazywał ci ją wschod słońca. Dniem sypiałeś w lasach. I tak dobrnąłeś do wioski Grosshammer. Spostrzeegli cię jacyś cywile i dali ci mleka i gotowanych ziemniaków. Mogłeś nawet w ich stodole przenocować. Dziwiłeś się, kiedy stary chłop, opowiadał ci po polsku, że wieś nie nazywa się wcale Grosshammer lecz Dąbrówka. Nie mogłeś zrozumieć dialektu wszyscy mieszkańcy Dąbrówki, wsi położonej na terytorium Niemiec, pięć km. od granicy polskiej, mówią takim samym językiem jak ty. I dialektu ludzie ci drżeli...

Zrozumiałeś dopiero wszystko, kiedy chłopaki przynieśli ci do stodoły plik przedwojennych pism polskich, mówiąc, że to „szwarcowane przez las kolo Tierschtegel“. Nie chciało ci się odejść stamtąd. Czuteś się tam, jak w domu, chociaż do Zbąszyńa i granicy był jeszcze kawałek drogi... Mieszkańcy Dąbrówki doradzali ci przejść granicę nocą przez las. Tyś poszedł wzdłuż szerokiej drogi do Nowego Zbąszyńa i wpadłeś...

Nawet nie wiesz, że Meseritz nazywano się kiedyś Międzyrzec i trzy-czwarte jego mieszkańców to Polacy. My wiemy już o tym... Jesteśmy tutaj już sześć długich miesięcy. A nauczyliśmy się dużo... Nauczyliśmy się milczeć... Nauczyliśmy się głodować...

Jest jeszcze noc, kiedy budzą nas okrzykiem „antreten“. Cały obóz oświe-  
tlony jest reflektorami. Dzisiaj nie będiesz wcale spał. Nie będziesz mógł uleżeć na gołej podłodze. I zaraz wszy zaczną atakować cię ze wszyst-  
kich stron. Wszy wiedzą, kto jest „nowy“...

A kiedy nad ranem usłyszysz wołanie Preussa — natychmiast biegnij za nami, nie czekaj. Bo mogą ci głowę rozłupać. To nie żarty!

A kiedy Gruby — ten w miękkim kapeluszu i rogowych okularach — po-  
wie ci, żebyś nadstawił mu twarz, to nadstaw. Dostaniesz tylko jedno ude-  
rzenie. Inaczej grozi ci „guma“. Ta sama, którą już poznałeś...

I milcz... Zaciśnij zęby. Nie gryź tylko wargi, bo możesz się przyzwyczaić do tego. Wargi mogą w końcu spuchnąć i będą bardzo bolaty. Jest tu tak! jeden... Cały dzień psy z Gestapo głośną go po ustach, a chłop tylko płacze... Ma czterdzieści lat i jest żonaty...

Kiedy wypłesz rano kawę — a tej możesz dostać nawet pół litra — sta-  
raj się stać na środku placu obozowego, żeby w momencie kiedy „Gruby“  
krzyknie drugi raz „Alle antreten!“ nie biegać za dużo. Zapamiętaj sobie  
Stefka i mnie. Twoje miejsce jest zawsze za nami. Stój spokojnie, nie ruszaj  
się i nie odzywaj do nikogo. Bo przez to możesz i ty oberwać i niewiary-  
twoj sąsiad. Od Grubego, Preussa albo jednego z hipo. Oni wszystko widzą.

Jeśli zdarzy ci się, że zemdlejesz, kucharz obleje ci głowę zimną wodą,  
wróciśz do przytomności i Gruby zapyta się ciebie, co się stało. Wystąp  
wtedy z szeregu, trzy kroki naprzód, złeńm czapkę i powiedz głośno: „Ich

konie ukryliśmy w krzakach koło wody, a wozy zostawiłsiemy przy płocie z nie-  
ociosanych świerków, okalającym pastwisko. Rannych przenieśliśmy pod  
drzewo, rzucające na nas dość długi i ostry cień.

Na szosie zaparowała cisza.  
Samoloty obrabiały teren fachowo. Spostrzeżłem teraz, że jest ich więcej  
niż dziewięć sztuk.

Widocznie pierwsza grupa znalazła źer godny większej biesiady i zaprosiła  
do uczy zgłodniałych i spragnionych przyjaciół. Spragnionych zapachu krwi  
i zgłodniałych widoku śmiertelci...

Po obydwu stronach szosy, biegały po polach pochylone postacie, szukają-  
cych schronienia przed nadchodzącą burzą. Nadejście ona czy też... przejdzie  
dzie bokiem? Coraz częściej dochodzili do uszu naszych odgłosy terkotu ka-  
rabinów maszynowych i coraz częściej rysowały się na tle nieba dymy po-  
żarów.

— Szlag na wasze mordy — Pawelek wołał o pomstę do nieba. — Ze  
też człowiek jest taki bezsilny...

Wtem rozległ się głośny i bliski wybuch bomby, ziemia zadrzęta i ryknął  
Pawelek: — nie mówiliem!!!

Samoloty sunęły jeden za drugim w naszym kierunku, równoległe do szosy,  
prążąc na lewo i na prawo z kaemów. Ziółkowskiego, który ułożył się pod wo-  
zem, zaswędziła widocznie ręka, bo głośno otworzył zamek od karabinu. Za-  
to usłyszał z ust kapitana-lekacza jedno słowo „idiotka“ i natychmiast ukrył  
twarz w dłoniach, prawdopodobnie, aby nikt z niej nie mógł wyczytać jakie  
katusze przechodziła jego — twąca się w tej chwili do czynu — dusza.

Samoloty tymczasem złączyły już „uszykować się“ trójkami i przystępo-  
wały do załatwienia naszej sprawy. Ani jeden z nich nie próżnował.

Obok samochodu Czerwonego Krzyża znajdowało się na szosie kilka wo-  
zów chłopskich, załadowanych po brzegi i one stały się na naszym terenie  
pierwszym celem samolotowych kaemów. Z koni, trażonych pociskami try-  
skała krew. Inne ogłoszone hukiem, cofały się w przeststrachu, spychając swoje  
ładunki do przydrożnego rowu albo oszalałe porwały się naprzód.

Warkot samolotów przemienił się w straszliwy skowyt. Jedna myśl tylko  
targała nerwy: nie trafią może...

Pierwsze nie trafiły ale teraz leciało ich więcej, a wszystkie...

Warkot, skowyt, gwizd, huk...  
Zobojętniałem zupełnie.

Kiedy otworzyłem oczy — ujrzałem u moich stóp lekarza — kapitana.  
Z głową zwieszoną na piersi i przygnieciony oczyma, uczynił na mnie wra-  
żenie człowieka śmiertelnie znużonego.

— Panie kapitanie... — zacząłem mówić — ale w chwili kiedy otwo-  
rzyłem usta poczułem na wargach coś ciepłego i kwaśnego. Zamknąłem oczy  
i opadłem na miękkie posłanie. Czudem jeszcze delikatne ruchy kapitana,  
zmywającego z moich usz i brody jakimś bardzo zimnym płynem, ciepłą  
krew.

Później usłyszałem warkot nadjeżdżającego motocykla, rozmowę leka-



# Z DNI PRASKIEJ REWOLUCJI

Gromadki żywo rozmawiających Prażan okupowały chodniki. Twarze ich były weselsze niż zwykle, podniecone.

Ulica upodobniła się do ula, w którym cała gromada pracowitych robotnic i ociężałych trutni niecierpliwie oczekuje narodzin nowej królowej. Podawane z ust do ust wiadomości wibrowały w powietrzu niby prąd elektryczny. Wypowiadało słowa szeptem ale tak wyraźnie, że mogłem dokładnie odróżnić poszczególne zdania. — „Gubernator Frank opuszcza Hradczyn, Alianci w Berlinie, Niemcy umacniają pozycje na południe od miasta, Armia Sprzymierzonych maszeruje na Pragę“.

Kilka ulic dalej paru młodych chłopców, czarną farbą, pracowicie zamazywało niemieckie napisy i tablice ogłoszeniowe.

Pospiesznie szedłem w dół ulicy, ku Włtawie. Czulem, że ogólny nastrój podniecenia udzielił się i mnie. Chciałem być jak najszybciej wśród swoich chłopców. Jakaś dziwna duma rozpieła pierś. Upajałem się myślą, że należę do wtajemniczonych. Chłód kolby „Vista“ dodawał pewności siebie, a za kilkanaście godzin miałem wziąć udział w akcji.

Na drugi dzień rano delikatny całun mgły otulił Pragę. Było chłodnawo. Popadywał deszcz. Siedzieliśmy znużeni i, osowiali. Po tym Zdenka przyniosła śniadanie. W milczeniu zabrano się do jedzenia. Jeden tylko Wiktor uparcie majstrował przy radioodbiorniku, który jakby na złość odmówił posłuszeństwa.

Minał kwadrans, a może pół godziny. W pewnej chwili wydało mi się, że poprzez gwar uliczny przedarł się huk strzału. I w tymże momencie głuchy dołd aparat wydał z siebie kilka zgrzytów i trzasków, a potem podniecony głos speakera oznajmił, że „w tej chwili Rewolucja Garda zajęła gmach rozgłośni i że... do broni!!!“

Głos mówiącego załamał się, a z oddali doszedł nas już wyraźny odgłos strzałów.

A więc zaczęło się! Wbrew mądrym przewidywaniom dowództwa — dwa dni

przed wyznaczonym terminem Praga powstała!

Nikt nie ma z góry określonego planu, ale wszyscy godzą się na jedno: Przy następnym rogu mieszczą się magazyny SS. Załoga nieliczna, może 20 a może 40 ludzi, a zresztą wszystko jedno. Składy pełne są broni i amunicji. Nas jest dziesięciu. Starczy.

Biegniemy wzdłuż murów. Brama uchylona. Wartownik jest wyraźnie skonsternowany. Bez jednego okrzyku z naszej strony rzuca broń. Drugi, który nie dość szybko to robi — dostaje kolbą w łeb i osuwa się na ziemię. Wpadamy do środka. Z przeciwległej strony widzę trzy postacie w niemieckich mundurach z bronią złożoną do strzału. Instynctywnie naciskam spust; Pejczyce strażów tną powietrze, a biegnący załamują się na środku dziedzińca. Przed nami parterowy budynek. Jadalnia i kuchnia. Część załogi tu zebrana poddaje się bez strzału. Sami starsi wiekiem i wszyscy bez wyjątku ogromnie wystraszeni. Tymczasem okres zaskoczenia minął i z lewego skrzydła zabudowań zagrzmięły strzały w naszym kierunku.

Co teraz?

Cała nasza akcja jest bezplanowa, ale kiedy świszczą kule — starczy jedno spojrzenie, jeden przytakujący lub przeczący ruch głowy czy ręki i wszyscy zajmują swe stanowiska. Skąd idą strzały? Z poprzecznego parterowego budynku. Otwartego ataku nie oplaca się ryzykować. Przestrzeń dzieląca nas od zabudowań jest tak duża, że dobry strzelec mógłby nas zlikwidować paroma seriami z automatu.

Pozostaje okrężna droga.

Wiktor i Ladzio wycofują się do bramy, dwóch pozostaje przy jeńcach, a reszta za mną! — przez okno na ulicę, na lewą stronę zabudowań. Brzęczą rozbijane okna. Jakaś sala, potem klatka schodowa, i jesteśmy na pierwszym piętrze budynku, którego róg opiera się o magazyn, gdzie zabarykadowali się SS-mani. Duże nieokrątkowane okna ułatwiają akcję. Przyciśnięci do ściany widzimy z odległości nie większej jak pięć me-

trów znieawidzone postacie w szarozłolonych uniformach. Granaty! Ręce nerwowo szukają bezpieczników. Korpus odchyła się lekko w tył dla nabrania rozmachu, oko mierzy przestrzeń. Wyrzut! Pod uderzeniem stalowych „jajeczek“ rozpryskuje się szklana tafła. Chwila ciszy i niespokojnego oczekiwania, a potem wybuch. Zatrzęsły się ściany, posypał tynk, zadźwięczało pryskające szkło i — cisza przerywana jękami.

Hurra! Bez zachowania jakichkolwiek ostrożności zbiegamy w dół na podwórze, a potem do magazynu. Granaty zrobiły swoje. Pierwsze zadanie zostało spełnione.

A potem triumf: nad dachem załopotały proporce. Napierw czerwony — proletariacki, a potem biało-niebiesko-czerwony, symbol wolnej Czechosłowackiej Republiki.

Ale nie tylko u nas wykwitły flagi. Również naprzeciw na dworcu towarowym na lewo i prawo. Po trzech godzinach nie było żadnego zabudowania na Winogradach, Strasznicach i Alei Króla Jerzego, gdzieby nie powiewały dumnie narodowe barwy.

W nieoczekiwanie szybkim tempie całe dzielnice zostały oczyszczone z Niemców.

Gdzieś koło dziesiątej wieczorem, kiedy już ucichła strzelanina, przyszedł pierwsze meldunki: — „Więzienie pankrackie w niemieckich rękach. W części śródmieścia, tam gdzie do akcji wprowadzili czołgi, są panami sytuacji. Czy tylko nie dostaną posiłków?“

Rozkaz: — Karabin na ramię — idziemy! Nowe zadanie przed nami — jest nas już więcej, bo siedemdziesięciu. Dowodzi Wiktor.

A jeszcze nim pochłonęły nas mroki nocy, ktoś przyniósł nową wiadomość — „Armia Radziecka zbliża się!“

jot-ka.

## Zagubiono

### kartę rejestracyjną

wydaną przez R.K.U. Konin na nazwisko Pajer Marian, syn Wincentego, zamieszkały w Grzegorzewie pow. Koło,

## Kupon nr 3

na okładkę do powieści „POBUDKI“

(wyciąć i zachować)

## Ciekawostki

# Cmentarz Atlantyku strzeże swych tajemnic

(SAP) — Sto siedemdziesiąt mil na południowy wschód od Halifaxu, na drodze morskiej między Ameryką a Europą, zagubiona wśród Oceanu Atlantyckiego, leży wyspa Sable Island (Piaszczysta Wyspa) — postrach wszystkich marynarzy. Kryje ona wśród swoich piasków ponure tajemnice rozbitych okrętów. Pierwsze jej ofiary datują się już od czasów odkrywczycy, a piaski jej są nie nasycone i do tej pory pochłaniają liczne wraki rozbitych okrętów. Brzegi Sable Island usiane są szczątkami setek okrętów i dzisiaj jeszcze mimo udoskonaleni technicznych wyspa jest koszmarem widmem, które przeraża załogi okrętów.

### NIEUCHWYTNE BRZEGI.

Piaszczyste jej brzegi, rozciągające się na przestrzeni 45 km, są nieuchwytne dla kartografów, gdyż — stale zmieniają swe położenie. Ocean nadgryza zachodnie jej wybrzeże, które w ciągu siedmiu lat cofa się o 1,5 km. Latarnia morska, wybudowana w 1883 roku, w tej chwili jest już pod wodą, daleko oddalona od brzegu. Nowa, wybudowana w roku 1917 na środku wyspy, stale zbliża się do jej brzegów. Kontury wyspy dla ułatwienia żeglugi mogłyby być oznaczone przez pływające boje lub statki latarnie, jednak boje stale są zrywane przez burzliwy Ocean na statki — latarnie nikt nie chce się zgłosić, gdyż w tych warunkach są one pływającymi więzieniami.

### MORSKA SAHARA.

Sable Island to kawał Sahary na arktycznych morzach. Stanowi ona ponurą pustynię, gdzie króluje tylko piasek, sól i morze. Na środku wyspy znajdują się wielkie kępy suchej trawy i karłowatych krzewów, stanowiące pożywienie dla 400 zagadkowych mieszkańców — małych pony (szkockie konie), które nie wiadomo skąd się tutaj wzięły i jakim cudem żyją. W lecie małym mieszkańcom składają wizyty foki, które z piaszczystych wybrzeży wyspy urządziły sobie modną plażę.

### WIĘZNIOWIE SABLE ISLAND

Na tej osobliwej pustyni, toczoney bezmiarem oceanu, żyją strażnicy dwóch latarni morskich, obsługa stacji radiotelegraficznej i meteorologicznej oraz załoga

ratownicza — w sumie 20 mężczyzn i 3 kobiety. Są oni więźniami Oceanu, gdyż urzędowy statek kanadyjski przybywa tutaj tylko trzy razy do roku. Jest to mały kuter Lady-Laurier, nieustrudzony łącznik wyspy ze światem. Dobrnięcie do wyspy nie jest jednak zabawką gdyż jest ona otoczona archipelagiem zdradliwych mieliżni i lach piaszczystych. W roku 1915 w grudniu Lady-Laurier musiała 23 dni krążyć dokoła wyspy zanim udało się jej spuścić szalupę ze świętecznym indykiem i z przesyłkami dla więźniów oceanu.

### SABLE ISLAND JEST ZAZDROSNA

W piaskach Sable Island odnaleziono monety i broń z czasów Krzysztofa Kolumba które świadczą, że historia tej wys-

py zaczyna się w tamtych odległych wiekach. Od tego czasu wraki rozbitych okrętów, pływających pod wszystkimi banderami świata tworzą niemal i tragiczną historię wyspy-cmentarzyska.

Druga wojna światowa posiada również swą kartę w historii wyspy. Dnia 7 marca 1942 roku amerykański transportowiec „Independence-Hall“ o pojemności 10 tys. ton wpadł na piaszczysty brzeg, został przepołowiony, zalany przez wodę i zasypany przez szalejącą burzę piaszczystą. W tym samym roku bombowiec Hudson lecący w kompletnej mgle zawadził skrzydłem o antenę stacji radiowej i zginął w falach oceanu. Więcej szczęścia miała załoga rozbitego Liberatora, którą w roku 1944 wyratowała z fal oceanu kanadyjska drużyna ratownicza. W czasie wojny istniał plan stworzenia na Sable Island bazy lotniczej. Wszelkie próby nie udały się jednak, gdyż warunki atmosferyczne: stałe wiatry i burze piaszczyste, wykluczają lądowanie samolotów. Sable Island jest zazdrosna i strzeże swych tajemnic.

ab.



### NAIWNY.

(s) „Głos Robotniczy“ (nr. 135) drukuje jedno z najbardziej dziwnych ogłoszeń. Oto ono:

Uczciwego złodzieja upraszam o zwrot skradzionych mi na stacji Łódź Kałiska w dniu 7 bm. dokumentów. Pacelt Stefan, Legica, Lenina 13. Dokumenty proszę zwrócić na adres: Łódź, Narutowicza 9, m. 26.

Panie Stefanie! Odkąd to złodzieje bywają uczciwi? co?... Szkoda, że nie obiecałeś mi pan nagrody za zwrot dokumentów! Może wtedy ten uczciwy złodziej, który pana prawdopodobnie bardzo uczciwie okradł — zjawił by się na ul. Narutowicza z włosami posypanymi popiołem, lżą w oku i te nieszczęsne dokumenty uczciwie by zwrócił...

### ZE JAK?...

(s) A oto urywek konspektu, który otrzymaliśmy przed pewnym czasem:

Uprzejmie komunikujemy, że w połowie marca br. został otwarty w Łodzi Oddział Łódzki Centralnego Biura Ogłoszeń i Reklamy Spółdzielni Wydawniczej „WIEDZA“ w Warszawie.

Działalność naszego oddziału obejmować będzie przyjmowanie ogłoszeń do wszystkich ogłoszeń w Polsce, opracowywanie kosztorysów ogłoszeniowych itd...

I mimo tak uprzejmej propozycji — z usług Oddziału chyba nie skorzystamy, gdyż naszych ogłoszeń nie zwykliśmy ogłaszać w... ogłoszeniach.

### GO NA TÓ WŁADZE SPORTOWE...

(m) Dodatek sportowy „Głosu Robotniczego“ (nr 113) przynosi taką rewelację:

Pierwsze międzypaństwowe spotkanie naszych koszykarek miało miejsce w roku 1941 w Krakowie. W eliminacji do mistrzostw Europy Polki pokonały Szwedki i zakwalifikowały się do finału, który odbył się w Strassburgu.

Jesteśmy przekonani, że odpowiednie władze sportowe wymuszają na redakcji „Głosu Robotniczego“, by ta podała imienny skład reprezentacji, celem wyciągnięcia odpowiednich konsekwencji w stosunku do startujących w r. 1941 zawodniczek. Czekamy!...



# Nie będzie w Polsce sierot

## Rodziny Radiowe przy pracy

O, Venus! — pomyślałem, kiedy Naczelnicy poruczył mi zwiedzenie najuboższego referatu Dyrekcji Łódzkiej P.R. — będzie nudno...

Jak bardzo jednak musiałem rozczarować się!

W lokalu Centralnego Biura Rodzin Radiowych, przy ul. Piotrkowskiej 123, gdzie powinien urzędować — jak mnie poinformowano — referent Rodzin Radiowych, nie zastałem ani referenta, ani jego biurka, ani jego krzesła, ani żadnej rzeczy, która jego jest.

— Wyszedł po inwentarz — powiedział mi poważny ob. P., pełniący w wyżej wymienionym biurze funkcję woźnego.

— Po inwentarz? — zapytałem zdumiony — Czy... może żywy?...

— Nie! Po... ruchomości, jakie wreszcie przydzielono mu z Dyrekcji. Po atrament, papier, stółki...

— A kiedy wróci?

— Za pięć minut... Może obywatel siądzie i poczeka?

Usiadłem i poczekałem. Czekałem dokładnie cztery minuty. Później musiałem wstać, bo w drzwiach ukazała się postać spoconego referenta, dzwigającego paczkę papieru maszynowego i tekturowy kosz, napełniony po brzegi materiałami piśmiennymi i kancelaryjnymi.

— Znajdujemy się w stadium organizacji, Szanowna Redakcjo! — przywitał mnie wchodzący. — Proszę, siadajcie i... pytajcie. Chcecie na pewno dowiedzieć się szczegółów o naszej pracy?

— Tak!

## Kto otrzymał nagrodę?

W „Naszym Konkursie“ Nr 17 drogą losowania otrzymali nagrody następujący Czytelnicy:

- 1) Maria Bis, Łódź, ul. Pabianicka 108.
- 2) Janina Fiszer, Łódź, ul. Piotrkowska 76.
- 3) Janina Pomianowska, Łódź, ul. Narutowicza 18.

Fragment był zaczerpnięty z książki Andrzeja Struga p.t. „Dzieje jednego pocisku“.

Usiadłem. Zamieniłem się w słuch... I tak przesiadzałem, słuchając opowieści o działalności i programie prac Rodzin Radiowych, okrągłe dwie godziny, przypominając sobie, jak to powstała przed piętnastoma laty pierwsza w świecie Rodzina Radiowa, jak pod skromnym masztem „półtorakilowatowej“ rozgłosił P.R. w Łodzi nadano światu pierwszy koncert życzeń...

— Czy dziś akcja radiosłuchaczy - społeczników wygląda inaczej?

Tak! Podobnie, ale — inaczej. Jej zmianę zawdzięczamy wojnie... Na piętnastu mieszkańców Polski przypada dzisiaj jedno nieżyjące dziecko!

A jak wygląda dzisiejsza praca radiofonizowanej części naszego społeczeństwa? Ze względu na brak funduszy skromnie, ale wspaniale... Powstają nowe Rodziny Radiowe, coraz więcej radiosłuchaczy skupia się przy głośnikach w chwili nadawania audycji Rodzin Radiowych i... tworzy się wielki pomnik. Żywy pomnik wzniesiony przez Lud Polski — Polsce. Pomnik w postaci milionowej rzeszy zdrowych i uśmiechających się sierot wojennych. Wielki, żyjący, wspaniały pomnik!

W kwietniu br. odbył się w Łodzi Pierwszy Ogólnopolski Zjazd Delegatów Rodzin Radiowych.

— Nie będzie wśród nas „zaściankowości“ — Sieroty z Łódzkiej R. R., tak samo, jak sieroty z Wrocławskiej, Wielkopolskiej, czy innej R. R., są naszymi, polskimi sierotami.

W Wielkopolsce czyni się starania, celem zorganizowania miasteczka chłopców - sierot. Przy udziale całego społeczeństwa, skupionego w Związku R.R. powstaną specjalne szkoły techniczne i rolnicze, tworzące z dzieci nieżyjących prawych obywateli Państwa. Nie będzie dzieci samotnych. Dzieci głodnych i smutnych! Nie będzie sierot na długich, tętniących życiem — zdradliwych! — ulicach wielkiego miasta!

Matką będzie im Polska, a Ojcem — Lud Polski...

— A... — pytam dziwnie nieswoim głosem — a, czy posiadacie odpowiednie fundusze?

— Nie, nie mamy... Ale fundusze będą. Nie korzystamy z żadnych subwencji... Całą naszą akcję opieramy tylko na ofiarności polskiego społeczeństwa. A Polacy są ofiarni. Wielka ofensywa przeciw ciężkiej doli sieroczej dopiero za-

czyna się, ale koniec jej będzie napewno pomyślny!

— Nie macie dla mnie żadnej ciekawostki...? takiej, która by pozwoliła mi wrócić do moich towarzyszy redakcyjnych z dumnym czołem — pytam; zegnając się z ob. referentem i ob. woźnym.

— Owszem, jest taka... Otóż projektuje się urządzenie w bieżącym roku, oczywiście z inicjatywy polskiego społeczeństwa, Międzynarodowego Dnia Sierot Wojennych Narodów Zjednoczonych. Na falach eteru...

— Można prosić was o podanie szczegółów tego...?

— Niestety, nie. Pomówimy o tym kiedyś indziej. Później. Teraz musimy zająć się mobilizacją całego społeczeństwa polskiego, aby rozpoczęta już ofensywa sierocą zakończyć pomyślnie...

Znalazłem się znów na Piotrkowskiej. Obok przystanku tramwajowego stał mężczyzna, wykrzykujący: „Każden Polak przeczytać powinien tragedię Narodu Polskiego i przejrzeć fotografie z hitlerowskich obozów śmierci! Brać i wybrać! Za jedyne...“ Obok mnie przebiegł i wskoczył do rozpędzonego tramwaju jakiś obdarty chłopiec, trzymający w ręku plik gazet... Gdzieś blisko zabrzmiała syrena fabryczna...

Jakaś myśl dziwna, niewyraźna, zamazana stanęła mi raptem przed oczyma. Coś dalekiego...

Czy to Słowacki w swoim „Ojcu Zadzumionych“...?

Nie! To Mickiewicz! Mickiewicz w chwili, kiedy pochylił się nad papierem, by stworzyć prolog do „Pana Tadeusza“... „Gdym od płaczącej matki“...

ENR.

Redaguje — Komitet  
Sekretarz Red. — Sergiusz Jaśkiewicz  
Wydaje — Woj. Komitet PPS w Łodzi

Redakcja i administracja: Łódź:  
Piotrkowska 68, tel. 112-54  
skrytka pocztowa nr 7

Godziny przyjęć: redakcji — 10 — 12  
administracji — 9 — 17  
Prenumerata: miesięcznie — 20 zł.  
kwartalnie — 50 zł.

Cena ogłoszeń:  
za milimetr — szpalę 50 zł.  
Skład: Druk. „Książka“ Druk: Druk.  
„Czytelnik“ w Łodzi.

D-012978



# RABANKA

## Walczymy ze spekulacją

Rozpoczęcie ostrej walki z paskarstwem i spekulacją wywarło duże wrażenie w pewnych kołach inicjatywy prywatnej. W związku z tą sprawą przybyła wczoraj do redakcji „Rabanki” specjalna delegacja w osobach Jana Kośmidrowicza — znanego organizatora „handlu inicjatywnego”, Przemysława Szabrowicza — głośnego niegdyś działacza na Ziemiach Odzyskanych i ob. Rypki — właściciela sklepu spożywczego na Wólczkańskiej. Panowie delegacji ubrani byli uroczyście na czarno, ob. Rypka miał nawet na palcu obydwa sygnety — z Jastrzębcem i z Slepowronem — które w dni zwykle nosi tylko pojedynczo, na zmianę.

— Dobrze jest, Redaktorze, że się wreszcie bierzemy za te cholerne spekulacje! — zawołał Kośmidrowicz, zacieraając ręce.

— Od dawna już im się to należało! — dodał z zapalem Przemysław Szabrowicz.

— Precz z lichwą! — krzyczał ob. Rypka, od którego najsilniej załatywało aromatem Państwowego Monopolu Spirytusowego.

— A cóż to za duch w was wstąpił, panowie? — spytałem zadziwiony.

— Duch—duchem, Redaktorze! Trzeci jesteśmy kompletnie, choć się przy tych uchwałach bez większego literka nie obeszło. Przyszliśmy tu zaznaczyć, że handel inicjatywny zawsze trzyma z narodem!

— O wiele inaczej być nie może! — dodał Przemysław Szabrowicz.

— I że wybieramy się nawet do tej Komisji za członków, jako osoby w kar-

kulacji zdrowo oblatane! — oświadczył Kośmidrowicz.

— Bo kto może lepiej znać tych łajdaków od nas samych? — uzupełnił ob. Slepowron-Jastrzębiec.

— Nie, jestem pewny, czy świat pracy zechce z usług panów skorzystać — zauważyłem zaskoczony.

— A czemuż by nie? Każdy jeden handlowiec konkurencje swoje posiada, której radby się pozbyć. A że to też są dranie nie z tej ziemi, to my chcielibyśmy komisjom dopomóc w ich nawracaniu.

— O wiele ta komisja oceni nasze zasługi i nas samych zostawi w spokoju!

— Jednym słowem — strach was bierze i chcielibyście w jakiś sposób uratować swoje skóry! — zawołałem.

— Jakie skóry? Co za skóry? O cukier przecież chodzi, Redaktorze, i o te przysłowiowe zapalki, których nabierało się u mnie ciut-ciut za dużo na składziel! Zadnem skórą nie handlowałem nigdy! — prostował Rypka z godnością.

— A mnie znów chodzi o te parnacie ton zboża, które uskładałem dla głodujących rodaków i które teraz przed myszami i szczurami ochrania! Więc jakby teraz, broń Boże, co do czego, to żeby komisja nie skrzywdziła swojego działacza! — niepokoił się Kośmidrowicz.

— Ponieważ chodzi i mnie o zabezpieczenie oszczędności włókienniczych — no i tych świętych walut obcych, żeby się nie zmarnowali — dodał Szabrowicz.

— Nic jeszcze nie rozumiem, czego panowie chcecie?

— Chcemy, żeby Redaktor w rabankowym Organie zaznaczył, że gotowi jesteśmy dać za tą specjalną komisją nasze potrójne referendyczne taknięcie

— nawet jej za członków pomagać, byleby nas zostawiła w spokoju!

— To jedna sprawa! — oświadczył Kośmidrowicz, — a druga — to względem tych kar, które sobie obmyślili. Za handel tak karać nie wypada, bo się to miłości bliźniego sprzeciwia! Znakiem tego — tylko napominać i po chrześcijańsku przebaczać!

— Ach! Więc jeżeli komisja wykryje pański skład cukru i zapalek, to ma powiedzieć: „Przebaczymy ci synu, tylko nie czyń tego więcej? Czy tak?”

— To by się, owszem, zgadzało! Napomnienie — lekkie, cięższe i najcięższe, a potem — przebaczenie, do trzech razy! Za czwartym możnaby i te jakąś lżejszą karą pieniężną — byleby bez tego obozu i bez tej śmierci!

— Handlowy człowiek za bardzo jest załatyany i nie ma czasu na te obozy! A śmiercią rodakom zagrażać to też wcale nie jest patriotycznie!

— No — te śmierć by człowiek jeszcze jakoś wytrzymał, byleby tylko konfiskacie majątku dali spokój! Bo jak tu i z czym potem zaczynać na nowo, kiedy się komisja uspokoi i zacznie obrabiać co innego? Bo my wiemy, że naród nasz dobry i nie mściwy! Trudno by mu było nawet — połowę ludzi powywieszać albo powsadzać do kozyl! Więc chodzi tylko o to, żeby się od pierwszego zapalu uratować! Dlatego ogłoś Redaktor w publicznym organie, że cały świat inicjatywny — z Kośmidrowiczem, Szabrowiczem, Przemysławem i obywatelom Rypką na czele! — odżegnuje się od spekulacji na amen! I nie chce o niej słyszeć, dopóki się zawziętość w narodzie nie uspokoi! Nawet wywisk i krzepkiego słowa możesz im Redaktor nie żałować, żeby drażnie jedne widzieli i skrucie i odpowiedzialną poczuli!

— Ja nawet za takiego, czy owakiego „syna” nie czułbym się obrażony, byleby tylko towaru nie ruszał! — dodał Przemysław Szabrowicz.

Czyniąc zadość prośbie delegacji, podaję bez komentarzy wszystko, co usłyszałem. KIEL

## Majowa wycieczka i jej skutki...

